

## Dymiący parów

Powolutku, kolysząc biodrami, schodziła schodek po schodku po zakurzonych stopniach swego domu, szła wyżłobionym korytem wyschłej rzeki, był to ogromny, szeroki wąwóz, usłany kolorowymi liśćmi, były zimne i mokre, były jesienne i przeorane deszczem, szła z głową wtuloną w szal, do pleców, do szyi przylgnął jej gorący szal, wiatr bił ją po twarzy, stawiała powolutku krok po kroku, kroki ślały się po liściach, ścieleły się ślady po liściach, stawiała więc tak krok za rokiem i za rokiem krok, bardzo rytmicznie i stanowczo, za nią ciągnął się jak błady welon gęsty ogon parującej mgły. Podążała więc dalej wytrwale tym wyżłobionym korytem wyschłej rzeki, strumienia, co to niegdyś skocznie się tu przeżył, skrętnie omijała zapamiętałe częstujących się tu winem zakochanych, winem zmaconym ziołami zakochanych, namdlewających nierozważnie u stóp parowu, nie zboczyła jednak z drogi, wysłała tylko w ich kierunku jedno senne, nie warte wzmianki spojrzenie, to rzucanie oka zbyt bolało. Myślała - ważne, że idę, choć czasem się potykam, czasem się potykam. Ale nic to, to nic, to to nic. Łykam dokładnie zarzucony śmiech, napuchnięte echo śmiechu, objijające się głucho o ściany koryta, przelykam je jak nie obrany owoc przez otulone białym szalem gardło, boję się strasznie, że ktoś to przelykanie słyszy, panikę w sobie duszę jak napierające lzy, zręcznie omijam zeschnięte wodorosty, depczę starannie po zimnych, mokrych liściach, jak kocica, zupełnie jak kocica, ocieram się o cudze sny, których odpadki wiją się, pelzają po urwisku, płaczą się po stokach i po dnie wąwozu. Co chwila wyszarpywała się z próbujących ją objąć pajęczych jakichś tkanin, może sieci, syren mroku, wzdrygała się, odpychała coś od siebie rozcapierzającymi się, przezroczystymi, coraz dłuższymi i dłuższymi mackami, wpadała w jakieś błotniste, bagniste kałuże, potem znowu brudnymi butami zadeptywała prześcieradło liści, ciągnąc za sobą jak błady welon po białym, białym, po głębokim śniegu smugę krwi.

Schodziła po schodach swego pustego domu. Coraz niżej i niżej. Było to coś, jak upadek, jak upadkiem fascynacja, było to coś jak pociąg do upadku! Coś jak rozkład jazdy. Jak chwil spełnienie w dekadencji. I przypomniał jej się nagle sen... Sen, ba-sen. Basen miejski. Biegła brzegiem basenu w stroju kąpielowym, kokieteryjnym ruchem odrzucała włosy na obnażone plecy, biegła czując na sobie laskot spojrzeń, loskot słów, zaraz im pokaże, co ona potrafi, jaki w wodę triumfalny skok, jaki prężny kraul, co z niej za jedna, patrzcie wszyscy, i hej i hop, rozłożyła ręce niczym Ikar, skok to był nad skokami, na połowę szerokości basenu, aż zamarła publiczność głodna, i oto wpadła jak zepsuta śliwka w mętną, zieloną wodę jeziornego nagle basenu, i poczuła, że w linii prostej spada jak kamień na porosłe gnijącą zielenizną dno, na zupełnie dno, ratunku, nie może odbić się w górę, niepotrzebnie odpycha się trwożnie nogami, nie odskoczysz, już ty nie odskoczysz, jest przecież tak bardzo ciężka, przytłoczona bezmiarem wód, ale ludzie, gdzie są ci ludzie, czyż nikt nie zauważył, że znikła, że jej po prostu już nie ma, rozglądała się czerwonymi z wysiłku oczami po zwycięskiej wodzie, ale znikąd, znikąd pomocy, żadnej dłoni wyciągniętej ku niej, rozpacz, bezradność, przerażenie, przytłoczenie, tłoczenie się, bezwład, napieranie wieczności, jeszcze chwila... a nadejdzie ten słodki, ten rozkoszny moment, w którym powie tak, niech będzie i tak, ten moment w którym odda, już bez sprzeciwu odda ducha (tylko komu, tylko komu?), odda wszystko, jak wszystko kiedyś wybrała... Cięcie, ciach ciach, ciach, to tylko film, to tylko sen.

Tuląc się do pozwijanych w kłębki kolder i poduszek pisała notatki z życia codziennego. Swoje zapiski duszy zgębnionej. Boże, jak mam opisać wszystko, co zalega mi na duszy? Nie wiem już nic, po prostu nie wiem nic. Jest mi tak ciężko, jest mi smutno, smutno mi Boże, dla

mnie na zachodzie... rozlałeś tęczę blasków promienistą... Jak to było? A może to mi się śniło? Wczoraj we śnie, lecz czy naprawdę tylko tam? Smutno mi, Boże. Ból bycia niezrozumianą, odrzuconą, odrzuconą, z własnej winy jak zwykle. Znowu ktoś mnie nie rozpoznał, fałszywy obraz zbudował na pewno sobie, CO ON SOBIE O MNIE POMYŚLAŁ, i już myśli robaczywe zaczynają drążyć, przewiercać mój mózg, bo przecież znów ktoś sądzi, że albo głupia, albo świnią, albo jedno i drugie, on na pewno tak myśli sobie! Nawet do głowy mi wówczas nie przychodzi, że on chyba na pewno nie myśli o mnie wcale! Że to ja sama w sobie tak puchnę i się napuszam i wybrzuszam! Nie wpadam nigdy na to rozwiązanie najprostsze... I ledwo mogę powstrzymać się, by nie wybiec z transparentem na ulicę, słuchajcie ludzie, ja naprawdę nie jestem ani taka zła, ani taka głupia, jak może to wygląda, proszę was, pokochajcie mnie, miejcie do mnie zaufanie, uwierzcie mi na słowo, nie jestem cwana, sprytna, obludna, egocentryczna ani chciwa, ja jestem naprawdę dobrym człowiekiem, ja mam dla was serce, ja bym dla was przecież wszystko, ja bym was przygarnęła, do piersi przytulili, nieba wam przychyliła, tylko że wy na to nic, niewdzięczni tacy jesteście, to jest wasza wina, niewdzięczność bo niewdzięczność nagrodą świata tego jest, a im więcej komu ofiarujesz, tym bardziej będzie cię unikał, i nie przyzna ci się za nic, zawsze ktoś mnie musiał w życiu wykorzystać, zawsze wyczuć tę słabość moją do ludzi, że należą do tych, co nie znają słowa nie, że za ochłap sympatii gotowa jestem na wszystko, zawsze ktoś się do mnie musiał przyssać, było tak już od początku szkolnych lat i jak pijawa wysysał ze mnie soki, żeby potem odwrócić się na pięcie, ale słuchajcie, ja mimo to, ja jeszcze nie straciłam wiary, ja was zaklinam, tylko mnie kochajcie, w poważaniu miejcie, zachwycać się możecie też, proszę bardzo, ja nie chcę więcej nic, a ofiarować, a poświęcić gotowa jestem wszystko, oddać wszystkie prace, podania, referaty, oddać je wszystkie za frajer, za frajer talent swój wynajmując, wypracowania wam pisać, niewolnikiem waszym być, najemną siłą roboczą, i dać przyprawić sobie tysiąc gęb! Tysiąc gęb za jeden uśmiech! Oto mój transparent. Za wszystkie gęby daj mi tylko jeden uśmiech... Tylko jedno słowo uznania... I ledwo mogę utrzymać w ryzach mą wyciągniętą, o jałmużny, o sympatii kęs żebrającą, drżącą dłoń. Pelzam za nimi, ciągnę za rąbek wyszarpanego z ich spojrzeń zainteresowania, aż żałośnie wyglądać to musi, a ja wiem jak to wygląda, bo jednocześnie z boku się oglądam, ciągnę za ten rąbek może zbyt gwałtownie, zbyt szybko, że zbyt dużym hałasem, aż przeginam w końcu pałę, aż przeginam pałę, że hej... Odwrócą się ode mnie szybko, gdy pokażę swoją nędzę, swoją słabość, gdy się raz w końcu wyda, jak bardzo ich potrzebuję, jak ich łaknę, jak wiszę całym ciałem u ich ust...

Powraca ten ból falami, ścisza serce straszliwie, pcha mi się do gardła, do oczu, do łez. Któryż to już raz, a zawsze boli tak samo. Moje cierpliwe, zmięte prześcieradło może zaśpiewać o tym całą pieśń... Ono wzdyma się nocami jak żagiel, gdy unoszą moje ciało bałwany dzikich zwątpień. A poza tym w ogóle ból. Nie ja pierwsza i nie ostatnia. Dlaczego jest nas tak dużo? Zakłopotaną mnie to czyni jakoś. Skąd wiesz, że ja to ja? Dlaczego akurat ja? A może w każdym jest to samo? Co to samo, no co, NO CO? Rzut, wyrzutek, podrzutek, przeblysk, okno na świat, świat jest nasz, Fryderyku czy ty wiesz, grajcie, dawajcie Poloneza, As-dur Poloneza, Rewolucyjną grajcie, i ten koncert Czajkowskiego... aż rozplnę się w nim zniknę, a wraz ze mną cały ten trud, ten znój... A jeśli teraz, to może i zawsze? A jeśli nie? A JEŚLI NIE? A cóż, jeśli naprawdę nie jesteśmy? A CÓŻ, JEŚLI NAPRAWDĘ JESTEŚMY??? OTO JEST PYTANIE. I INNEGO NIE MA. Czy mnie jeszcze pamiętasz, czy pamiętasz, Alessandro, jak grałeś mi Bacha po katedrach, po kościołach? Organiści znali cię na pamięć, użyczyli ci klucza i ty grałeś, i ty grzmiałeś, aż drżały wiekowe mury, Amadeus, Amadeus, A-madeus. Wiesz, dostaję szału, słuchając tej piosenki. Er war ein Superstar, er war so populär, er war so exaltiert, ja so war, so war er, und Frauen Frauen liebten seinen Charme. Amadeus Amadeus A-madeus, Frauen Frauen liebten, kręcę się jak oszalala patrząc na swe odbicie w zawsze poplamionej szybie biblioteczki,

patrząc na biodra roztańczone, włosy rozrzucone, oczy roziskrzzone, na rozigrane refleksy światła pieszczące moją twarz, na to co zostało, co nie wróci, na to co mogło być, a nie było i nigdy już nie będzie, a może i lepiej, a może i gorzej, a może na jeziorze, bo jakie to wszystko ma znaczenie. I wówczas nie pytam już o nic. Przynajmniej wówczas NIE PYTAM O NIC!!! No i oczywiście Jennifer. Jennifer Rasch dudniąca do przesady z samochodowego radia. Kiedy pędzę, kiedy pruję przez autostradę i mijają mnie ze świstem eleganckie beemwice tudzież mercedesy benz model najnowszy, i do tego Jennifer z radia wali, i do tego oczy duszy, to nic już mi więcej nie trzeba. I oto wchodzę na deski spalonych teatrów, na popękane ekrany kin, okładki książek, spotykam moją pierwszą miłość... I tylko ten dziki pęd, tylko ten zachód dziki, tylko ta muzyka, ta muzyka, MAGNIFICAT! A więc do końca, do końca z losem nie pogodzona - komu to się może przydać?

Vivijano, Vivijano, jeśli tak dalej pójdzie... Czy rozumiesz co mam na myśli? Vivijano, wybieraj, wybieraj. Bo już czas, Vivijano, bo już czas... To nie na twoje siły wybierać wszystko. Tylko pamiętaj Vivijano, nie oglądaj się do tyłu, tylko się nie oglądaj, nie oglądaj, nie oglądaj... To tylko film, to tylko sen. Opowiem ci coś, Alessandro. Potrzaskana biczem czasu, przytłumiona tłumem niezupełnie jeszcze przetrwionych lat, odurzona zapachem lawendowego mydła czynię te oto zapiski. Co za piski? Piski duszy zgnębionej. I niech mnie nikt nie pyta po co. Wcale nie jestem przekonana, że chodzi tu tylko o nieśmiertelność. Może raczej... o tę nieznośną nieuchwytność bytu. Która rozpiera mnie, unosi, przenosi, ponad poziomy wzlata, która wydziera mnie brutalnie z objęć snu, każe tańczyć, każe skakać zdębiałym włosom na głowie. Przysłowiowym pierwszym siwym. Słuchaj, ty tylko słuchaj: Na mszę wieczorną biją dzwony, katedralne dzwony - znowu - w rodzinnym mieście. Wróciłam tam po latach pewnego razu naprawdę. Zamiast odwiedzić ciebie poszłam wówczas gdzie indziej. Czas nagli noc zapada. Polska zmieniła się niewiele. Tylko ja, Alessandro, tylko ja! Snulam, przemykałam się chyłkiem chybikiem truchcikiem jak złodziej bandyta po szarych, wydeptanych, deszczowych ulicach (jakże możesz mówić, że są szare?), żalowałam, że nie mam okularów ciemnych jak generał, bałam się, że ktoś mnie zidentyfikuje, nie wiedziałam sama kim jestem! Jaką zbrodnię zbroiłam! Obiema rękami zasłoniłam głowę, oczy, włosy, głowę, oczy, włosy, bałam się, Alessandro, czy rozumiesz, bałam się! Byleby tylko nikt mnie nie zapytał, jak podoba mi się tam, jak podoba mi się tu, jak, kim czuję się tam, czuję się tu, tam tu, tam tu, tam tu. Byleby nie próbowali wyciągać, wypruwać ze mnie wniosków. Więc szybko, szybciej, pod gradem spojrzeń, lasem rąk, kiosk, gazeta, tramwaj, zaulek, cementarz, park, statki, syreny, autobus, port, wsiadać, wysiadać, pchać się, przytulać, coś się pan przyssał, jestem zmęczony, dziękuję, entschuldigung, przepraszam, panie tego, czy to aby nie żaby, nie pani, nie ja, to na pewno nie ja, ja tu tylko tu tylko tutaj, zaklinam, że to nie ja, to nie ja, to nie ja!!! Przez pola przez pola przez tory przez las i śpieszy się śpieszy by zdążyć na czas. I komedia, i groteska się zaczyna, i kurtyna w górę, taśma w ruch, zatrzepotały mewy, wrony, i runęła, runęła muzyka, i grzmotnęła z niebios muzyka, ta muzyka - MAGNIFICAT!!!

Alessandro? Słuchasz mnie jeszcze? Magnificat. A ja się błąkam samotniejsza niż życie... Któryż próbuję to już raz. Rozgarniam lekko wielkowiejskie tłumy gwarne, tłumy marne, cedzę je przez siatkę przesłoniętych gęstym czarnym welonem oczu pod pewnym kątem, obłożona obsesją nigdy nie dokonanego odchudzania rozważam ciężar decyzji oraz ciała, przyglądam się krytycznie zbyt mętym jakby włosom, chmurom, motywacjom, nie potrafię rozgrzeszyć się z tej drożnej chęci, z tej pstrokatej bluzki, lecz kiedy, jeśli nie dzisiaj, Boże, przepadają wiosny i jesienie, czas nagli noc zapada, czy ja kiedykolwiek będę godna, wystarczająco młodapiękną, aby znów po latach, znów po tyłu, tyłu latach, na mszę wieczorną biją dzwony, katedralne dzwony biją dzwony biją dzwony biją... Jak szaleńczo biją mnie te dzwony! Jakże dają mi po uszach po

włosach po łąkach po polach, jakże dają mi do myślenia te dzwony potężniejsze niż sen. Więc wiesz, nie widziałam go już tyle lat go nie doznałam. AŻ NAGLE, AŻ WRESZCIE zebrałam całą swoją pierzchającą piękność i odwagę, zacisnęłam oczy aż do bólu osłupiałych rzęs, czy mieszka tu taki a taki, a jakże, a jakże, i to jeszcze jak, i żeby to tylko on, wspięłam się po szpilach jak syrenka po sztyletach ziemi, desperacko zadudniłam do drzwi, bo kiedy jeśli nie dzisiaj, czy wiedziałam, oczywiście oczywiście oczywiście, wiedziałam, że już nie jest, że nie jest, że nie jest już sam, i stanął! I stanął w drzwiach! I jakby nigdy nigdy nie! Dzień dobry, jakbywczoraj, jakbydziś, ach to ty, proszę, ależ proszę, do środeczka, dokolusia, siemanko, jak zdrówko, jak leci, a tu akurat kolacja, parówki na stole, ale nic to, nie będę sobie przeszkadzał, poznajcie się, ania ania, ania ania, cóż za łania, cóż za łania. Jakaś miła-ładna-zgrabna dziewczyna zrobiła mi herbatę, chodziliście razem do szkoły, ach tak, to to tak, to to tak. Powolutku rozpinalam guziki jego szorstkiej flanelowej koszuli, dopiętej na mój ostatni niespełniony sen, z rozmysłem, z premedytacją, jeden po drugim, błąd do błędu, oblęd do oblędu, jak przez zadymę docierał do mnie ten nagrany głos, pochłaniałam go wszystkimi zmysłami, jego oczy, włosy, głos, jego oczy, włosy, głos, jego dłonie, usta, nos, jak legendę, jak sen, tak mało miałam czasu, tak przejrzysty pretekst, a starczyć musi na wieki, a więc nigdy już nigdy, a przecież chodzi tylko o co chodzi, a przecież chodzi tylko o co chodzi, tylko o co chodzi, o co chodzi, o tyle lat za wcześnie za późno, o tyle tyle lat, co mnie przywiodło tu po latach, w jakiej występuję roli - tylko powoli, błagam, powoli! Jeszcze wiruje twoja płyta, jeszcze się tobą ekran pali, nie można wyjść, nie można przyjść ot tak, w połowie snu i w pół oddali!!! I oto nagle nagle płyta-płyta-pły-taply-taply-ta ZGRZYTA, PŁYTA ZGRZYTA, PŁYTA ZGRZYTA, dławi się sama sobą płyta, zgrzyt-zgrzyt-zgrzyt, i trzask, i pisk, panie Janeczku mam grać czy nie grać, iii grać iii grać, iii wprzód iii w tył, cuuu-ryk, curykcuryk, MUZIK! KAMERY! ŚWIATŁA! REKWIZYTY!